

Rzecz o polityce

Państwo | Funkcjonariusze niepodległego państwa ponoszą odpowiedzialność jedynie moralną lub polityczną

Kto naprawdę rządzi Polską?



CZESŁAW BIELECKI

Naprawdę, nie na niby. Polską rządzi ponad 700-tysięczna bezgłowa armia urzędników. Ci, których głowy widzimy w telewizji: premier, ministrowie, wojewodowie, starostowie, dyrektorzy i naczelnicy są rządzeni przez aparat, który tylko nominalnie jest ich aparatem.

Każdy polityk rządowy czy samorządowy, który obejmuje władzę, natychmiast zostaje poddany „obróbce”, której nie zna żaden szef firmy. Dostaje grafik najbliższych wizyt i spis palących spraw. Aparat zarządza chorobą bieżącej. Najpierw bronią się. Nie wszyscy, oczywiście. Powtarzają mediom deklaracje i cele programu. Ale nieuchronnie wciąż ich wir codzienności i bagno procedur. Od 30 lat z tą samą nieuchronnością.

120 tys. urzędników rządowych, ponad ćwierć miliona samorządowych, niemal 400 tys. w pozostałych jednostkach administracji publicznej ma swoje wypracowane od dziesięcioleci substandardy działania. Tłumią one skutecznie myślenie o celach strategicznych. Ta szkoła działania jest powtórką z lekcji, którą przerabiamy od podstawówek. Zero krytycznego myślenia, zero komunikacji, zero kooperacji, zero kreatywności.

Czterem K mówimy nie!

Co innego – na szkoleniach. Ale w praktyce – jak u Dostojewskiego: „Człowiek jest podatnym zwierzęciem, istotą, która potrafi przyzwyczaić się do wszystkiego”.

Pewnie nie zdobyłbym się na napisanie tego tekstu, gdyby nie lektura „Państwa teoretycznego” Bartłomieja Sienkiewicza, inteligentnego analityka, który rozbił sobie głowę jako

polityk. Autor uczciwie, jak na polityka stwierdza, że słowa dezawuuujące państwo, które rzucił u „Sowy i Przyjaciół” nie przystoją ministrowi. W dodatku Sienkiewicz ma świadomość, że minister spraw wewnętrznych nie powinien dać się podsłuchać, zaś prawdziwym blamażem było to, że jego własne służby nie potrafiły odkryć, kto tym sterował.

Bartłomiej Sienkiewicz śladem socjologów, politologów i intelektualistów nie dochodzi do banalności zjawiska zapadania się naszego państwa. Postanowił zabrać więc głos jako praktyk, w imieniu milionów obywateli, którzy na co dzień obcuja z armią urzędników rządzących i nami, i ministrami. Po pierwsze: próba, którą dysponuje, jest reprezentatywna. Rocznie mam około 500 kontaktów z administracją przez bezpośrednie spotkania, rozmowy telefoniczne, maile i formalne pisma. Po drugie: moje kontakty zawodowe obejmują całą Polskę, od Zakopanego i Krakowa po Gdańsk i Sopot; od Szczecina po Lublin, nie wspominając już o jądrze ciemności – stolicy i Mazowszu.

Moimi partnerami – a częściej przeciwnikami każdego konstruktywnego działania – są decydenci różnych szczebli. Urzędnicy samorządowi i ich naczelnicy, starostowie i burmistrzowie, resortowi specjaliści lub doradcy, wiceministrowie i ministrowie. Mam więc przekrój 700-tysięcznej niemundurowej armii, która rządzi społeczeństwem, rządem i prezydentem. Widzę, jak myśl jednostki jest rozszarpywana, przeżywana i wypływana przez zawsze bezosobowe ciała, gdyż każdy rozmówca – z ministrami wszystkich rządów na czele – pokazuje w praktyce, że nie da się nic zrobić, choć on bardzo chce. Dziś rządzący wydają się być wyjątkowo zdeterminowani, ale wychodzi im tylko trochę lepiej niż Ziobrze.

Nasz kraj to 16 województw, 314 powiatów i 66 miast na prawach powiatu. Na poziomie najbliższego obywatelowi samorządu wspólnota państwowa dzieli się na niemal 2500 gmin. I w każdym z tych miejsc, idąc z

dołu do góry, mamy myślenie wydziałowo-sitwiarskie, a z góry do dołu resortowo-folwarczne. Zastrzegłem sobie już dawno u prezesa Kaczyńskiego prawa autorskie do stwierdzenia: „Gdyby w Polsce był układ, to mielibyśmy już sieć autostrad”. A ponieważ faktyczną władzę mają lobbies i kliki, autostrady, obwodnice i drogi ekspresowe na razie przypominają poszarpaną pajęczynę.

Marazm w szeregach

Próbowano na różne sposoby wzmocnić instytucje publiczne: a to zmieniając strukturę, działy i podziały terytorialne, a to wymieniając kadry na młodsze i zdrowsze moralnie, wreszcie próbując narzucić uproszczenie procedur. To ostatnie naiwnie nazwano „jednym okienkiem”, jakby po drugiej stronie blatu siedział cudotwórca, który opanuje marazm anonimowej armii impozybilistów.

Polscy politycy wołają przemawiać, podróżować – ale nie rządzić. Rządzenie to wymuszanie decyzji

Po trzech dekadach, które mineły od przełomu 1989 roku, spotykam w urzędach generację moich synów. Ich szefami, bliskimi dziś emerytury, są ci, których awans zaczął się, gdy odzyskaliśmy suwerenność. Mieli wówczas około trzydziestki. Jak to się stało, że rok po roku przy zmieniającym się prawie i rządach utrzymał się constans biurokratyczny? Najpierw decyzje nie są podejmowane. Gdy już ktoś je podpisał, nie są egzekwowane. Zaś na końcu i tak nikt za nic w administracji nie odpowiada. Jak to jest, że jako inżynier muszę rocznie płacić 12 tys. zł za ubezpieczenie od błędów w sztuce szacowanych na parę milionów złotych, bo żądają tego moi kontrahenci, a żaden funkcjonariusz państwa nie ponosi

odpowiedzialności za brak decyzji, który jest decyzją najgorszą, bo nie ma jej jak zaskarżyć.

Ta powszechna nieodpowiedzialność zaczyna się od urzędnika podatkowego, który doprowadził Optimusa Kluskę do bankructwa, a kończy na premierze, który nie zauważył Amber Gold. Dlaczego funkcjonariusze niesprawnego, choć niepodległego państwa ponoszą tylko odpowiedzialność moralną lub polityczną? Dlaczego winien jest strażnik, dróżnik, restaurator i pilot, a nie minister, który kieruje maszyną państwa, mając służby nadzoru i kontroli?

W 1990 roku lub na początku 1991 roku zadzwonił do mnie Jerzy Giedroyc i wypowiedział, nie kryjąc ironii, jak na niego dość długa fraza: „Co się u was dzieje w tej Polsce? Chyba Lenin miał rację, trzeba zacząć rozstrzeliwać”. Nie mógł pojąć, jak ludzie, których miał za ideowych i inteligentnych, grzęzną w małych rozgrywkach, zamiast odbudować państwo, które

choćby drażniło to miernoty. Tylko tak powstają udane przedsięwzięcia. W ustroju demokratycznym dyktatura inteligencji i woli nad marazmem i anarchią ma zawsze alternatywę. Dialektyka władzy i opozycji służy obu stronom.

Ale demokracja i wolność nie generują same z siebie siły państwa. Przeciwnie. Gdy my ugrzęźliśmy w małości, Putin odbudował państwo rosyjskie, pozostawiając jego obywatelom tylko dekorację demokratycznej wolności. Jego Rosja realizuje projekt odbudowy potęgi militarnej. My od Onyszkiewicza i Komorowskiego przez Sikorskiego i Klichę aż do Macierewicza wciąż szukamy amunicji do wyprodukowanych już moździerzy RAK albo dostosowujemy latami wieżę pojazdu pancernego do strzelania zakupionymi już pociskami Spike. Nie umiemy nawet zatrudnić programistów z rynku do zadbania o cyberbezpieczeństwo.

Zamiast szukać żołnierzy Wojsk Obrony Terytorialnej w grupach rekonstrukcyjnych, moglibyśmy zintegrować już czynne służby mundurowe (od straży miejskiej po strażaków) oraz korporacje taksówkowe (transport przez całą dobę online). Takich pomysłów krąży mnóstwo, ale żadna cywilna ani mundurowa biurokracja nie schyli się po nie. Co więcej, zniechęca każdego, kto poda najprostsze i najtańsze rozwiązania. Każdy projekt strategiczny, który da się zweryfikować w ciągu paru tygodni i może wystartować w parę miesięcy, jest dla 700-tysięcznej armii urzędników śmiertelnym zagrożeniem. Póki państwo nierządem stoi, są bezpieczni jak w Pierwszej Rzeczypospolitej. Platforma Obywatelska głosiła na billboardach: „Nie robimy polityki, budujemy mosty”. Tymczasem nadal nie umiemy robić polityki, która pozwala budować mosty w terminie i w przewidzianym budżecie.

Rządy prawa to zapewnienie skuteczności działania bez naruszania przepisów. Tolerancja władzy dla tłumaczenia urzędnika, że mu nie wolno, bo nie znajduje krycia w szczegó-

wym przepisie, powoduje, iż paraliż opanowuje cały organizm. Choroba niepodpisowania, tworzenia instytucjonalnych buforów, bronienie się przed decyzją powodują, że plan Morawieckiego trzeba zacząć od szeregowego urzędnika. Musi wziąć osobistą odpowiedzialność za rozwój, który hamuje codziennymi blokadami. Władzę niszczy rozkład powodowany przez jej własny aparat. To najbardziej antynowoczesna część państwa.

Zgnite owoce

Zanim weszliśmy do Unii, Bronisław Łagowski przekonywał, że nie jesteśmy „państwem znikąd”, że musimy – jakby powiedział Marszałek – sami w sobie przepracować drogę, którą przeszliśmy. Przejście w 1989 roku partiopństwa przez nowe elity nie zaowocowało sprawczością. W PRL czuwalni nad administracją sekretarze monopartii. W roku stulecia warto nacylić się nad słowami profesora Łagowskiego z kwietnia 2003 roku. „Po wojnie przez 40 lat państwo polskie nie było niepodległe, teraz jest niepodległe, ale z roku na rok coraz mniej jest państwem (...). Oczywiście nadzieja, że inni nas uporządkują, nie przerywając naszego snu o niepodległości, może być złudna, nawet z pewnością taka się okaże. (...) Piłsudski mógł zaprowadzić jako taki ład dzięki temu, że był w Polsce pod pewnym względem ciałem obcym. Żmudzin, rewolucyjny socjalista, austriacki brygadier patrzył na społeczeństwo polskie obcym okiem i lepiej je pojmował, niż ono samo się pojmowało”.

W Polsce następuje pokoleniowa zmiana u władzy. Ale nie zmienia się to, co było zgniłym owocem zgniłego kompromisu z początku lat 90., tych czasów Wielkiego Zamazania. Cóż głupszego niż wiara, że bez zmiany sposobu myślenia i działania funkcjonariuszy państwa stanie się ono normalne? To znaczy po prostu, że będzie służyć obywatelom, a obywatele będą jemu służyć. ©

REKLAMA

0844758/A/WRZEE

DEBATA „RZECZPOSPOLITEJ”

KIEDY SZTUCZNA INTELIGENCJA ZASTĄPI PRAWNIKA?

RELACJA JUŻ 4 GRUDNIA 2018
W DNIU WYDARZENIA
LEGALTECH DAY W THE HEART

ORGANIZATOR



THE HEART

PATRON MEDIALNY



RZECZPOSPOLITA

PARTNER STRATEGICZNY



Wolters Kluwer

PARTNER



Okręgowa Izba Radców Prawnych w Warszawie

PODCZAS WYDARZENIA OGŁOSZENIE
ZWYCIĘSKIEGO STARTUPU LEGALTECH 2018
I PREZENTACJA STARTUPÓW
Z SEKTORA PRAWNEGO